

## W poszukiwaniu mongolskiego ałmasa

Autor tekstu: **Bolesław A. Uryn**

**K**ażdego dnia z naszej planety bezpowrotnie znika około 140 gatunków zwierząt i roślin - twierdzą naukowcy i ekolodzy. Nie sposób oszacować, ilu z tych gatunków nie zdążyliśmy poznać. Co jakiś czas pochyleni nad nowoodkrytym zwierzęciem naukowcy zadają sobie pytanie: jak to się stało, że dopiero teraz je zauważyliśmy? I ile jeszcze nieznanych gatunków zamieszkuje naszą planetę?

### Jubileuszowa wyprawa

Od dawna obiecuję sobie, że to już po raz ostatni jadę do Mongolii. Że w przyszłym roku pojedę gdzie indziej. Na przykład w ciepłutkie tropiki. No wiecie — gambijska plaża, roznegliżowane mulatki, leżaczek, palmy... Narty wodne i zimne napoje. Miód na mój reumatyzm. Że zobaczę, obfotografuję i przeżyję wreszcie coś nowego, oryginalnego. A tymczasem — ciągle wracam do tej choliernej Mongolii. Bo jakoś tak jest, że każdą mongolską wyprawę kończę z wielkim uczuciem żalu, martwiąc się, że to już koniec..., że tak szybko minęło i trzeba wracać do domu. I jedyną pociechą jest myśl, że może jeszcze tu przyjadę w roku przyszłym. Jeszcze tylko ten jeden, ostatni raz — oszukuję się. I tak wracam... i wracam... już 10 lat. Niektórzy nazywają to mongolioholizmem, inni mongoliofobią. No bo przecież dla postronnych trudno w męczących wyprawach w ten koniec świata doszukiwać się szczególnej przyjemności...

Dlaczego i czym Mongolia tak mnie zafascynowała, zapytacie? Przecież...

...survival zaczyna się już, gdy lecę samolotem Aeroflotu z Warszawy do Ułan Bator (osiem tysięcy kilometrów — trwa to dobę). Potem będąc jeszcze zmęczonym i śpiącym - powoli dochodząc do siebie po nieprzespanej nocy i zmianie czasu aż o 7 godzin, muszę przesiąść się w najgorszy z możliwych terenowych samochodów - w rosyjskiego UAZ-a (z drugiej strony — świetny wóz, niezastąpiony w warunkach mongolskich). Potem jadąc autem przez tydzień od rana do nocy pokonuję tysiąc kilometrów bezdroży, trzęsąc się na nierównościach szlaku wiodącego przez stepy i górskie kotliny, bądź wręcz przedzierając się przez góry. Cały czas kurczowo trzymając się kierownicy lub uchwyty, a mimo to z uczuciem, że urwą mi się nerki, żołądek lub płuca. Po kilku godzinach takiej jazdy jestem cały obolały. Skąd guzy i siniaki — pytacie? Od uderzeń o karoserię, ponieważ auto okropnie trzęsie się i podskakuje na nierównościach, bo moja droga (jaka tam droga — szlak...) wiedzie koleinami wrytymi w stepie, po głazach, kamieniach, przez doły, bagniska, brody w rzekach itp. Pnie się stromo w górę po stokach, albo opada niebezpiecznie w dół. Meandruje przez gąszcz modrzewiowej tajgi między głazami i pniami drzew.

Jadąc po najgorszej (ale utwardzonej) drodze, „tyknąłbym” tę odległość w jeden dzień...

Wreszcie docieram np. do osady Cagaan Nuur. Wydaje się Wam, że to upragniony koniec podróży. A skądże! To dopiero początek wyprawy i teraz dopiero „zaczynają się schody”. Przywiezione bagaże i żywność wędrują teraz z auta na konie juczne, a ja ląduję w twardej kulbace drewnianego, mongolskiego siodła. Przez kolejne tygodnie domem staje się ciasny namiocik, rozbity w tajdze lub tundrze, na wysokości 2-3 tysiące metrów, tam gdzie już wieczna zmarzłość. Tyłek boli, a w górach na zmianę bywa upał i mróz. Wichura. Tygodniami jem tylko to, co dam radę upichcić na ognisku. Mięsko muszę złowić lub ustrzelić. Ablucje odbywane w lodowatej wodzie strumienia są okropne i potem odzywają się w domu reumatyzmem...



I po co to wszystko — zapytacie? Za te pieniądze (albo i taniej, a na pewno przyjemnej) można byczyć się na plażach Azji. Mieszkając w hotelikach pod palmami podziwiać tropiki. Zwiedzić cały, niezmiernie interesujący Tybet. Albo — wreszcie — na przykład zobaczyć festiwal w Rio. Jeśli ktoś się uprze wędkować, to można choćby w Kazachstanie łowić 100-u kilowe sumy. Wygodnie, z łodzi, i śpiąc w łóżeczku. Itd... itp...

Wszystkie te męczarnie podróży do i po Mongolii cierpię tylko po to, bym potem mógł, przez kilka krótkich tygodni, podziwiać góry i darchacką Ułan Tajgę. Piękny, unikatowy kawałek świata pozostałego niezmienionym od XIV. wieku, od czasów, gdy jurte rozbijał tu Temudżyn. Przyrodę nieskażoną niszczącą obecnością człowieka. Skarb, który mają u siebie tylko Mongołowie.

Ułan (Czerwona) Tajga to najodleglejsza północ Mongolii. Strone góry sięgają tam swoimi ośnieżonymi szczytami do prawie czterech tysięcy metrów. Nawet przełęcz są na wysokościach ponad 2000 m. Przemieszczanie się polega na wolnej, mozolnej wędrowce konnej. Wielokrotnie muszę przeprować się przez rzeki, ponieważ ich brzegi stanowią często jedyną, dostępną drogę.

Tajga rośnie tam na wiecznej zmarzłoci. Ziemia nasączona jest po wierzchu wodą, niemogącą wsiąkać w zamrożoną w głębi ziemię. Spływa zatem po zboczach setkami strumieni, łączącymi się niżej w rzeczki i rzeki. W dolinach, zagłębieniach i nawet na równiejszym terenie, woda gromadzi się pod postacią bagien i wielkich mokradeł. Ziemię, czy to w dolinach, czy na zboczach, pokrywają kamienie i głazy. Między nimi zalega masa starego, spróchniałego drewna, leżącego tam od dziesiątków, czy setek lat. Gnijącego i powoli zamieniającego się w grubą warstwę próchnicy. Wolną przestrzeń porasta mech i dywany krzaczków jagód i borówek. Na samym wierzchu leżą suche gałęzie i konary, niedawno obłamane przez wiatr i tworzące zasieki nie do przebycia. I leżą wielkie drzewa, olbrzymie pnie, już od lat martwe, wyglądające na jeszcze mocne, a rozpadające się na spróchniałe drzazgi przy próbie oparcia się ręką lub stąpienia na nie. Albo inne - jeszcze zielone, świeżo wyrwane przez wichurę z korzeniami, lub rozwalone w strzępy uderzeniem pioruna. W takich warunkach marsz pieszy jest udręką. Wędrowca ratują mongolskie koniki.

A nad głową nie widać nieba — taki gęszcz modrzewi i limb. Tam wysoko w górze — zielonych, ale w niższych piętrach i tuż nad głową — czarnych, martwych gałęzi i konarów. Z wiszącymi jak wdowi welon wstęgami szarego mchu. Wiele drzew jest okropnie pokaleczonych przez pioruny.

Tajga intensywnie pachnie a jesienią jest złota (od koloru igieł modrzewi) lub czerwona od ściółki leśnej.

W górnych partiach gór, gdzieś na wysokości około 2500 m, zaczyna się tundra. Tam wokoło już tylko mchy, porosty i kamienie. Wszystkie kamienie i głazy są tam zielone — porośnięte jakby pleśnią. Wieje silny wiatr. Pada deszcz, grad, śnieżna krupa (nawet latem). Ale za to jakie widoki...!

Tam spotkać można już tylko orły i... mongolskiego AŁMASA (Yeti!). Czasami samotny namiot Cataanów — hodowców renów.

Powiecie — tajga jak tajga. Jak na Syberii...

Nieprawda. To Zaginiony Świat... To CZERWONA TAJGA — odludna, piękna, unikatowa...

Potem znowu zaczyna się męczący powrót konno do cywilizacji, znowu jazda UAZ-em i znowu lot samolotem Aeroflotu do domu. Koszmarna noc przespana na betonowej posadzce strefy tranzytowej lotniska w Moskwie (sic!) i — jak zawsze — wygłaszane tam obietnice — "*nigdy więcej Aeroflotu i Mongolii!*"! Ale zimą przychodzi list od Erdene i dzwonią przyjaciele z pytaniami — "*co tym razem montujesz..?*" I znowu zaczynają się plany. Pojawiają nowe pomysły i nowe wyzwania — dotrzeć jeszcze dalej i żeby było jeszcze trudniej i ciekawiej (łowić jesiotry...? a może spływ na pontonach...? canoe... albo wyprawa nurkowa...?). I znowu ten czas tak wolno płynie...

I tak jest co roku od lat dziesięciu! Gdyby tak pozbierać do kupy te wszystkie miesiące spędzone przeze mnie w namiocie, w Mongolii, to by się znalazło wytłumaczenie czemu „zrobiły mi się skośne oczy” i czemu nazwali mnie tam „Bolebaatarem”.

Rośnie sterta notesów z notatkami i tysięcy zdjęć.

## Jubileusz

I tak, nadszedł jubileuszowy, 2004 rok. Mój dziesiąty rok wypraw do Mongolii. Musiałem go wyróżnić w sposób szczególny! Najstuszniej i najprzyjemniej kolejną odkrywczą wyprawą,

idącą jeszcze dalej..., jeszcze wyżej..., docierając już tak daleko w głąb Ułan Tajgi, że dalej nie można. A jubileusz trzeba świętować w doborowym towarzystwie. Dlatego w tym szczególnym roku zaplanowałem, wielką „unijną” wyprawę survivalową. Unijną bo międzynarodową a i rok był szczególny — historyczny (2004). Z przyjaciółmi — Andrzejem „Masakrą” z Belgii (kolejna, wspólna wyprawa) i jego synem Krzysztofem „Juniorem” oraz Mirkiem z Niemiec. Ja chcę w ten sposób uczcić 10 lat moich pobytów w świecie jurty i tajmieni, a Andrzej pragnie „przekazać” Mongolię swojemu synowi. Tak jak kiedyś zrobił to Putrament — Stępowskiemu, prof. Kisieliński — mnie. Jak ja — jemu i teraz - Wam. Mirek, po długiej wyprawie do Australii, szukał kolejnego, ambitnego wyzwania...

## Założenia wyprawy

opierały się ma moich poprzednich pobytach w „czerwonym trójkącie” — Ułan Tajdze, najbardziej odludnym, północnym skrawku gór Sajan. Miejscu, które przecina rzeka Sziszchid (Jenisej). Ale — tym razem, wybierałem się dalej na północ i na zachód, aż po syberyjską granicę z Tuwieńcami. Do całkowicie bezludnej lasotundry.

Wielokrotnie już eksplorowałem te tereny, za każdym razem idąc coraz dalej i wyżej. Wracając zmordowany, ale i zachwycony. Zawsze chciałem iść jeszcze dalej, ale... na przeszkodzie stała konieczność powrotu, spowodowana końcem zaplanowanego czasu pobytu. Tym razem postanowiłem poświęcić na wyprawę dwa miesiące.

I tu „zaczęły się schody”, bo barierą w takich przypadkach staje się prozaiczna sprawa żywności. Ile można zabrać bagaży na dwa juczne konie — zastanawiałem się? Sześciu uczestników (nas czterech i dwóch Mongołów) będzie miało minimum 100 kg bagaży. To maksymalnie tyle, co mogą ponieść dwa konie juczne. A gdzie zapas żywności na tak długi okres czasu? A na dodatek jestem zwolennikiem zdrowego, prostego jedzenia a nie liofilizatów i chińskich zupek, a makaron, *tuszonka* i cebula ważą. Będzie więc potrzebny trzeci koń? Może nawet czwarty? A przecież na takiej survivalowej i długiej wyprawie górskiej ilość uczestników, koni i sprzętu musi być jak najmniejsza. Nie na darmo ograniczyłem liczebność grupy do trzech osób + Erdene. Do dwóch koni jucznych. Planowałem bowiem, że jednego jucznego będzie prowadził Mongoł, drugiego ja. Nemrodi będą mieli wystarczający problem z tym pod sobą.

W końcu zdecydowałem się na inne rozwiązanie. Niepraktykowane przez Mongołów, sprawnie i szybko wędrujących po górach. Postanowiłem wykonać w Polsce, zabrać do Mongolii i użyć na wyprawie, dodatkowe juki na wszystkie konie pod siodłem. Obszerne, mocne i wodoodporne pojemniki mocowane po obu stronach za jeźdźcem. Pojemne. Wprawdzie utrudniające „galopowanie” ale jakże praktyczne i — w ten sposób, zmniejszyć obciążenie koni bagażowych.

Zaprojektowałem je, a zaprzyjaźniony zakład pokleił. Mając pojemność blisko 50 litrów jeden, para pozwoliła każdemu z nas na zabranie dodatkowych 100 litrów lekkiego bagażu. A także na posiadanie pod ręką sprzętu i rzeczy szybko potrzebnych do użycia w trakcie całodziennego jazdy konnej, bez potrzeby zdejmowania worów z koni jucznych, takich jak np. ciepła kurtka, poncho przeciwdeszczowe, aparat fotograficzny czy kamera, napoje, apteczka, siekiera, liny itp. Zakład, na co dzień klejący plandeki samochodowe, zrobił mi wspaniałe juki. Na dodatek wielokolorowe, by nie myliły się które czyje.

A więc jeden problem miałem z głowy.

Zawsze uczyłem innych, że logistyka i przygotowanie to najważniejsza część wyprawy (i jakże przyjemna), zatem przez kilka miesięcy dopinałem kolejne szczegóły. Przede wszystkim tam — w Mongolii. E-maile krążyły, informacje przepływały, robiłem rezerwacje i słuchałem nowości.

Korespondowałem z partnerem — moim przewodnikiem i przyjacielem Erdene z Cagaan Nuur. Wprawdzie list szedł miesiąc, a paczka dwa, ale miałem pewność, że chłopak wszystko co mu poleciłem przygotuje. I dostałem z Mongolii miłą wiadomość — niespodziankę. Erdene zrobił prawo jazdy i kupił samochód — ruskiego UAZ-a. Zrobił to, co mu od lat radziłem. „Erdene — powtarzałem mu co roku - *oszczędzaj, nie wydawaj zarobionych pieniędzy na życie, ubranie, wódkę itp. Zbieraj i kup samochód*”. Kupił.

Więc pozostało mi tylko wysłać paczką do Erdene drobiazgi do zamontowania w naszym samochodzie, a niezbędne dla wyprawy. Dwa gniazda zapalniczek (dla zasilania ładowarek akumulatorów) i zewnętrzną antenę do radia CB. I jeszcze prezent — samochodowy radiomagnetofon umilający jazdę na tych koszmarne długich, nudnych (dla mnie) i

monotonnych przejazdach.

Postanowiłem jeszcze uzupełnić mój wyprawowy analogowy sprzęt fotograficzny o aparat cyfrowy. Długo szukałem najlepszego (na wyprawę) czyli profesjonalnego, mocnego i taniego aparatu. Dodatkowo zasilanego akumulatorkami AA, z możliwością stosowania filtrów, ręcznym zoomowaniem obiektywu itp. Żadnej plastikowej, torebkowej zabawki, ale puszkę lustrzanej z mocnym metalowym korpusem, maksymalnie pyło- i bryzgoszczelnej, z dobrą optyką. Na dodatek sprzętu taniego. W końcu rozwiązałem tę „kwadraturę koła” i stałem się właścicielem Olympusa Camedia E 20. Jeszcze dokupiłem „bank zdjęć” mieszczący ich tysiące, solidny zapas akumulatorków AA i dobre ładowarki 220 i 12 V.

Pozostały drobiazgi, jak przeróbka namiotu (dopasowanie go do ciężkich, bo już zimowych, warunków wyprawy), skompletowanie odpowiedniego sprzętu, czy załatwienie wiz mongolskich i „biczika” z ambasady. No i najważniejsze — określenie ambitnego celu wyprawy. Mając tym razem możliwość spędzenia w Mongolii aż dwóch miesięcy, postanowiłem podążyć w najodleglejsze partie gór Ułan Tajgi, by w tundrze szukać śladów mongolskiego Yeti — ałmasa. Zweryfikować opowieści jurtowe (i prace naukowe) o tym dziwnym, nieznanym stworzeniu, okrytym mrokiem tajemnicy. Starac się wyjaśnić dziwną przygodę, którą przeżyłem tam kilka lat temu.

## Człowiek śniegu

Azja Centralna jest największą na świecie koncentracją terytoriów niedostępnych dla człowieka. Wysokogórskie, odludne i dzikie tereny Afganistanu, Bhutanu, Chin, Indii, Kazachstanu, Kirgistanu, Nepalu, Pakistanu, Uzbekistanu, Rosji i Mongolii są domem wielu rzadkich zwierząt i ... yeti. Dane przemawiające na korzyść istnienia ałmasa — yeti, o małpiej, niedźwiedziej lub wręcz ludzkiej naturze, stanowią dzisiaj materiał imponujący swoim bogactwem i różnorodnością. Na poparcie przytaczane są takie dowody, jak legendy, zapiski w starych księgach, szczątki przechowywane w świątyniach, olbrzymie zęby znalezione przez profesora Koenigswalda, relacje ze spotkań i zdjęcia m.in. zrobione przez Erika Shiptona, kierownika brytyjskiej wyprawy alpinistycznej w 1951r., czy ślady znalezione przez słynnego himalaistę Hillarego. Liczne relacje naocznych świadków itp.

Od czasu do czasu w Mongolii pojawiają się nowe informacje o spotkaniach z ałmasem, czy znaleziskach szczątków i relacje naocznych świadków, którzy twierdzili, że spotkali dzikiego, czy leśnego człowieka. Ma tam różne nazwy w zależności od regionu występowania, np. — w tundrze i tajdze nad Jenisejem zwą go — „tung”, gdzie indziej — „czuczunaa”, ponadto bywa zwany — „girkyczawylin”, „uten-ehti-agen” itp.

Autorzy publikacji zwracają uwagę na fakt, że — w odległych od siebie regionach Azji, niezależnie od miejscowej nazwy — stwór ten był i jest zawsze prawie identycznie opisywany, pomimo że prostych ludzi którzy go widzieli oddzielały znaczne odległości (brak możliwości przepływu informacji), dzielili języki, kultury i lata. Dlaczego — pomimo tych barier — tubylcy wszędzie podobnie opisują dzikiego, śnieżnego, górskiego człowieka — pytają naukowcy? Nawet podobne jego zachowanie, reakcje, charakter? Poważni naukowcy twierdzą, że świadczy to pośrodku o tym, że ałmas istnieje. Niestety - dotychczas nikt nie udokumentował naukowo lub wiarygodnie istnienia hominidów w Mongolii.

W 1951 roku alpinista Eric Shipton zrobił pierwsze wyraźne zdjęcie śladów stworzenia yeti. Potem w 1956 roku poważny, argentyński profesor Orlando Rene Brave poinformował prasę o spotkaniu w Himalajach yeti zwanego tam metohkanami. Wywołało to burzliwą światową dyskusję naukowców dotyczącą pytania — czy żyją w wysokogórskich obszarach tego regionu jakieś nieznanne dotąd nauce zwierzęta? Wbrew pozorom nie jest to pytanie niedorzeczne — jak by się wydawać mogło - ponieważ w okresie ostatniego stulecia, poszukiwania badaczy, rozpoczęte właśnie na podstawie legend ludowych lub współczesnych doniesień, doprowadziły do odkrycia w tym regionie wprawdzie nielicznych egzemplarzy, ale NOWYCH gatunków zwierząt np. irbisa — pantery śnieżnej, zwierzęcia kin [złotorune ta-kin], białego niedźwiedzia pei-hsiung i mały wysokogórskiej Thinopitecusa. Życie tych nowoodkrytych zwierząt jest ciągle tajemnicą, bowiem niewielu ludzi widziało je w warunkach naturalnych. Ale - tym niemniej — fakty te bezspornie wykazały, że odludne obszary wysokogórskie Azji Środkowej kryją w sobie liczne zakątki nietknięte stopą człowieka, w których żyją [lub mogą wciąż żyć] nieznanne nauce zwierzęta. I uwaga! W każdym z powyższych przypadków informacje o istnieniu tych zwierząt odnajdowali najpierw sinolodzy i historycy sztuki na bardzo starych naczyniach i obrazach, oraz w legendach.

Mongolski ałmas [yeti] od dawna wzbudza zainteresowanie światowych uczonych. Powstała specjalna komisja Rosyjskiej Akademii Nauk do badania „śnieżnego człowieka”. Główną tezą jej pracy było twierdzenie, że „śnieżny człowiek” jest reliktowym huminidem. Duże zainteresowanie małpoludami mongolskim istnieje również w Stanach Zjednoczonych. Również polscy naukowcy interesują się ałmasem, dokonując nawet penetracji terenowych w Mongolii [1].

Ogromne, odludne regiony Mongolii (powierzchnię połowy Europy zamieszkuje zaledwie nieco ponad dwa miliony ludzi, z czego połowa zgromadzona jest w kilku miastach) nie były eksplorowane przez badaczy i wciąż stanowią białą — naukową — plamę! Wysokogórska tundra, śniegi i lodowce, mrozy, mordercze wichury, straszne burze itp., oraz ogromne odległości od zaplecza cywilizacyjnego (i brak akceptacji poszukiwań przez władze mongolskie) — utrudniają eksplorację i nie pozwalają na zdecydowaną odpowiedź — czy w Mongolii żyją ałmasy, będące endemicznym, nieznanym gatunkiem zwierzęcia? Na to pytanie nie udało się odpowiedzieć nawet słynnemu himalaiście Reinholdowi Messnerowi, który przez dwadzieścia osiem lat (30 wypraw) poszukiwał (również w Mongolii) dowodów na istnienie yeti.

## Бусийн Тайга (Mongolia północna), sierpień 1998 r.

Doskonałe przygotowanie, uczestnicy — profesjonaliści o wysokich kwalifikacjach, świetnie dobrany sprzęt, broń, przewodnik — miejscowy myśliwy — Mongoł który „zęby zjadł” polując w tajdze, wszystko to gwarantowało bezpieczny przebieg tamtej wyprawy. I rzeczywiście - obyło się bez przykrych niespodzianek, poważniejszych wypadków, chorób, ale nie bez przygód. Na szczęście wszystkie zakończyły się szczęśliwie, dzięki czemu mam dzisiaj co wspominać...

Obóz rozbiliśmy w bezludnej, górskiej tajdze, tam, gdzie strome stoki gór dochodzą do samej rzeki, a ta przełomem, na wysokości ponad 2000 m n.p.m., przebija się do Sziszchidu — Jeniseju. O tym pięknym, zapomnianym jeziorku na dnie krateru wulkanu, opowiedział mi kiedyś Erdene i pokazał mi je na mojej starej żanżin sztab [wojskowej] mapie z 1942 r. Według mapy miało około 100 ha i nazywało się Oszig nuur, a jego lustro wody było na poziomie 1816 m. Mapa jeszcze mówiła: „Mongoł szar dawaa 64 km”, co zrozumiałem jako odległość od umownej — gdzieś tam w górach — granicy z Syberią. Miejsce na obóz było fatalne i z trudnością znalazłem maleńki skrawek równego terenu na rozstawienie namiotów, za to konie miały wiele zielonej trawy. Dotarliśmy aż tutaj by zobaczyć jezioro w którym zimują tajmienie.

Noc jest chłodna. Można nawet powiedzieć, że jest zimno, bo temperatura spadła solidnie poniżej zera. Dobrze, że profilaktycznie ubrałem ciepłe skarpetki i czapkę. Mam wygodny śpiwór, poduszeczkę pod głową, jest mi ciepło, a jednak długo nie mogę zasnąć — zbyt wiele wrażeń miałem dzisiaj w ciągu dnia. Zamiast się męczyć postanawiam więc spisać myśli, które latają mi po głowie.

Wypraktykowałem technikę pisania w nocy w namiocie — obracam się w śpiworze na brzuch, nad głową wieszam latarkę i skrobię w notesie ołówkiem, bo długopis zamarza. Dzisiaj jednak nie mogę zebrać myśli i przelewać ich na papier, bo blisko, w ciemnościach nocy, od stoku góry na przeciwległym brzegu rzeki, echo odbija głośne ryki jakichś dzikich zwierząt. Wali się tam coś z hukiem do wody. Wygląda na to, że w pobliżu rozgrywa się jakiś zwierzęcy dramat. Może to poluje irbis — pantera śnieżna i napastowana ofiara uciekając skoczyła z wysokiego brzegu do rzeki? Może rosomak? Przydałby mi się noktowizor.

Cienka ścianka namiotu jest iluzoryczną osłoną od świata zewnętrznego. Pierwszy raz żałuję, że nie jestem myśliwym i, że nie mam pod ręką broni. Odruchowo wyciągam ręką do góry i dotykam rękojeści wiszącego tam noża.

Rezygnuję z pisania, bo przez te ryki myśli mi się nie układają. Wreszcie morzy mnie sen. Gaszę latarkę. Zmarzłem, więc zagrzebuję się z głową głęboko w śpiwór i zasypiam.

W tajdze śpię zawsze bardzo czujnie, dlatego nad ranem obudził mnie hałas przewracanych naczyń kuchennych pozostawionych przez nas wieczorem koło wygaszonego ogniska. Ktoś tam się po ciemku tłucze. To pewnie Jurek albo Erdene wyszedł nad ranem zmuszony przez pitą wieczorem herbatę i nie zabrał latarki — oceniam i natychmiast znowu spokojnie zasypiam...

Świt i pobudka. Zaspany wyczołguję się z namiotu. Tropik jest mokry. Obwisły pod ciężarem kropli rosy wielkich jak ziarna grochu. Przy wychodzeniu z namiotu cały zamoczyłem

się, bo wywołałem lawinę wody ciekącej z tropiku na moje plecy. Po kilku krokach także nogi mam mokre do kolan. Silna rosa powoduje, że świat wygląda jak po ulewnym deszczu. Podziwiam jak ze stoku gór w dolinę rzeki spływa rzeka mgły gęstej jak mleko. Wyżej wszystko widać wyraźnie — góry, tajgę, ale tu, w dole mgła ogranicza widoczność do kilku metrów. Ale słońko już zaczyna przygrzewać. Czuje to na mokrych plecach i wiem, że — jak zwykle - za godzinę będzie już sucho i ciepło. Trawa zacznie żyć tysiącami świerszczy i ogromnych szarańczaków.

Obozowy poranek w tajdze — jak co dzień — ładuje mój akumulator radości z życia, optymizmu, wręcz poczucia wielkiego szczęścia i szczególnego wyróżnienia. Nawet ten prozaiczny, poranny rytuał mycia zębów w lodowatej wodzie strumyka, wydaje mi się cudem. Z głębi serca dziękuję Bogu za to, że ten świat jest piękny i ciekawy, i że dane mi było tu dotrzeć! Rozbieram się do pasa i postanawiam bohatercko hartować się zimną wodą ze strumienia, ale przy pierwszej próbie rezygnuję, poprzestając na pochłapaniu twarzy i szyi.

Wstałem pierwszy, więc muszę iść i rozpalić ogień ogniska.

A tam przykra niespodzianka. W naszej obozowej kuchni znajduję straszny bałagan. Gary są porzucane wokół ogniska. Śniadania nie ma, bo wczorajsza zupa zostawiona w kociołku na rano jest rozlana. Pojemnik na wodę pusty — też leży przewrócony. Gorzej — wodoodporny wór z żarciem jest rozerwany, konserwy rozsypane, a makarony, ryż i herbata walają się mokre w trawie.

Na moje wrzaski z namiotu wychodzi zaspany kolega i wstaje Erdene.

Kiedy ja z Jurkiem obwiniamy się nawzajem o spowodowanie nocą szkód, to mój mongolski przewodnik (zawodowy myśliwy), po dokładnych oględzinach śladów na ziemi, nagle krzyczy — AŁMAS..! AŁMAS..!, biegnie po karabin, przeładowuje go i pędzi do koni. Wygląda na to, że przestraszył się czegoś, obawia się o konie i chce sprawdzić czy nic im się nie stało. Na szczęście okazuje się, że pasą się spokojnie i są wszystkie. Erdene wraca, ale jest wyraźnie mocno wystraszony. Stwierdza autorytatywnie i zupełnie poważnie, że szkody w nocy nie zrobił żaden z nas. Również nie było to zwierzę - pantera czy niedźwiedź — mówi. Do obozu, nocą przyszedł pożywić się gospodarz gór — ałmas! To odgłosy jego - prawdopodobnie nieudanego — polowania słyszeliśmy nocą. Był głodny i przyszedł do obozu — twierdzi mocno zdenerwowany Mongoł. Najlepiej, abyśmy natychmiast stąd odjechali — mówi.

Erdene z karabinem ostrożnie obchodzi całą okolicę i szuka śladów bytności człowieka gór. W końcu woła nas i okazuje wyraźne ślady wielkich stóp odcisniętych w błocie na brzegu. Jurek — doświadczony myśliwy i tropiciel (ustrzelił wiele niedźwiedzi w Kanadzie) — dokładnie ogląda ślady i zadziwiony — stwierdza, że rzeczywiście — nie są to doskonale mu znane ślady misia! Zbyt duże, zbyt wąskie, zbyt płytkie, odcisnięte są paluchy a nie widać pazurów — mówi zadziwiony. No i wyraźnie widać, że była to istota dwunożna, a niedźwiedź przecież chodzi na czterech łapach!

Też oglądam wyraźne, ogromne ślady stóp odbite w błocie i mokrej ziemi zaledwie kilkanaście metrów od naszych namiotów i dreszcz emocji przeszedł mi po plecach. Uświadomiliśmy sobie, gdzie jesteśmy, i że trzeba zacząć uważać, obojętnie czy kuchnię zdemolował nam ałmas, pantera śnieżna czy niedźwiedź! Decydujemy, że nie będziemy więcej gasić ogniska na noc. Wyciągam zestaw survivalowy, a z niego petardy hukowe. Postanawiam nie rozstawać się z moim Tactical P99 Walthera. Jurek składa swój łuk myśliwski, a do kołczanu mocuje strzały z grotami na grubego zwierza. Radzi, by — tak jak w Kanadzie — jedzenie następnej nocy zawiesić wysoko na drzewie. Erdene — nie wiadomo po co — cały czas chodzi po obozowisku z karabinem przewieszonym przez plecy i obiecuje, że w przyszłym roku zabierze na wyprawę psa — swoją łajkę, która nikogo i niczego się nie boi i będzie stróżować w nocy odganiając ałmasa.

Już kolejny raz wracam oglądać pozostawione ślady. Bardzo żałuję, że nie mam ze sobą gipsu do wykonania odlewów śladów widocznych na wilgotnej ziemi, bo wciąż wyraźnie widać wypełnione wodą odciski wielkich stóp. Niestety, jedyne co mogę zrobić by mieć dowód wizyty ałmasa, to wykonać kilka zdjęć tych charakterystycznych wgłębień. Fotografuję je pod różnymi kątami — może będzie coś widać? Choć wątpię — bo czarne błoto zagłębienia wypełnia mętna woda. To tak jakbym fotografował czarnego kota na pryzmie węgla... Kombinuję, czy nie da rady zrobić odlewu z... mąki, ale okazuje się, że już jej nie mamy.

Po pośpiesznym śniadaniu, Jurek z łukiem a Erdene z karabinem, wyruszają konno skontrolować okolice obozu i szukać w jakim kierunku idą ślady ałmasa. Sprawdzić, czy aby na pewno oddalił się od obozu. Erdene odgraża się, że go wytropi i dopadnie! Jurek, że sfotografuje. Opuuszczam sobie te poszukiwania, bo uważam, że nocny gość — obojętnie,

zwierzę czy ałmas — musi być już bardzo daleko, a jego ślady na skałach na pewno nie będą widoczne. Potrzebny by był pies tropiący, ale my go nie mamy. W ciągu 10 godzin od wizyty w obozie zwierzę może być gdziekolwiek, a już na pewno tak daleko, że do zmroku nie dadzą rady go wytropić. Trzeba było od razu, rano, po rosie... Postanawiam, że jutro o świcie wyruszę z teleobiektywem i lornetką obejrzeć okolicę. Zresztą ktoś musi zostać w obozowisku. Ale obu myśliwych nosi! Poszli, a właściwie to pojechali konno...

## Ałmas śmierdzi, gwizdże i nie znosi wody...

Nie poszedłem na ryby, bo wrócili koledzy (oczywiście z niczym) i nastał „kocioł”, ponieważ wraz z nimi przyjechali goście — napotkana grupa Mongołów podróżujących w kierunku „zielonej” granicy. Typy małowniczo podejrzane, wszyscy uzbrojeni, ale nie musimy się niczego obawiać, bo — okazuje się, że są to znajomi mojego przewodnika. Parzę więc herbatę i serwuję posiłek, bo zgodnie z mongolskimi obyczajami, gościa — podróżnego trzeba nakarmić, napoić i przenocować.

Jestem wciąż pod wrażeniem niedawnych, nocnych odwiedzin w obozie i trafia się okazja pogadać o ałmasie z miejscowymi ekspertami, zatem daję gościom w prezencie paczkę papierosów i proszę przewodnika, aby zapytał ich co sądzą o naszej przygodzie i o dzikich ludziach gór?

Potoczyła się przy ognisku wartka opowieść...

Okazało się, że są doskonale zorientowani w temacie. Wiedzą już o nocnej wizycie w obozie i potwierdzają, że to musiał być ałmas. Ale traktują go w sposób naturalny — jak jedną z wielu żywych, myślących istot, a spotkanie z nim tak jak z odległym, rzadko odwiedzanym sąsiadem. Twierdzą, że żyje on wprawdzie głównie na zachodzie Mongolii, w górach Ałtaj, ale często przywędrowuje i tutaj, ponieważ tu — wysoko w górach i już blisko granicy — nikt go nie niepokoi. Nie ma tu ludzi i turyści nie docierają do strefy przygranicznej, bo im nie wolno. Zdarza się, mówią, że zimą porywa im bydło, ale rzadko, bo wielkie i rogate jaki potrafią się przed nim obronić. Tak więc raczej żyje w przyjaźni z pasterzami. Więcej szkód robi Caatanom, bo gdy zapanują straszne mrozy to bywa, że z głodu zabija im renifery. Czasami, ałmasa widują myśliwi, którzy w trakcie polowań na sobole tygodniami koczują w najdalszych i najwyższych odstępach górskiej tundry po obu stronach granicy. Ale udaje im się go zobaczyć tylko zimą i to z daleka, gdy jego sylwetka jest dobrze widoczna na białym śniegu. Trudno go wytropić bo zawsze pierwszy zauważa człowieka i tak szybko ucieka w góry, że nawet na koniu nie można go dogonić.

Kilkanaście lat temu — opowiada nam jeden z Mongołów — słyszał, że samica ałmasa zesza z gór, porwała i zniewoliła samotnie koczującego pasterza. W odległej dolinie w Ułan Tajdze kosił on samotnie siano na zimę. Uciekł z tej „słodkiej” niewoli dopiero po tygodniach spełniania obowiązków małżeńskich. Inny opowiada, że jeszcze nie tak dawno miejscowy Naadam wygrał ich znajomy zapaśnik, olbrzym i siłacz nad siłacze, wykarmiony mlekiem ałmaski.

A było to tak — matka codziennie wyjeżdżała doglądać bydła i pozostawiała w otwartej jurcie samotne, małe dziecko. Maluch rósł jak na drożdżach. Kiedyś matka - wracając — zobaczyła uciekającą z jurty ałmaskę. Dziecku, które tamta mamka tygodniami karmiła piersią, nic się nie stało. Wprost przeciwnie, karmione mlekiem ałmaski wyrosło na siłacza.

Nasi goście prześcigają się w kolejnej opowieści o tym, że gdzieś tu niedaleko, po syberyjskiej stronie żyje stuletni pasterz — olbrzym, syn ałmasa i zniewolonej przez niego Mongołki. Ma podobno dwa i pół metra wzrostu i jeszcze dzisiaj wyróżnia się ogromną siłą i... niespotykane bujnym owłosieniem. Owłosioną ma nie tylko twarz, ale nawet ramiona, ręce, nogi, piersi i plecy — twierdzą Mongołowie. Ma większą brodę niż ty - śmieją się ze mnie [2].

Inny z naszych gości opowiada nam jak to kiedyś jechał zimą na stronę syberyjską polować na sobole i jego koń (posłuszny, stary towarzysz wypraw) w pewnym momencie zaprał się i nie chciał iść dalej, a potem poniósł jak oszalały, nie reagując na wysiłki jeźdźca starającego się go opanować. Chłopak mówi, że koń poczuł smród ałmasa i dlatego spłoszył się. Ten sam myśliwy opowiada nam także, jak to jego ojciec z towarzyszami wytropił gawrę - zimowe legowisko — jak przypuszczali — niedźwiedzia. Gdy myśliwi usiłowali wypłoszyć zwierza to rozległy się przerażające wrzaski. Tak groźne ryki, że mógł je wydawać tylko wściekły ałmas. Zrezygnowali z polowania i uciekli!

Erdene - mój inteligentny przewodnik, dokłada do tych opowieści swoje informacje.

Twierdzi, że jak odbywał służbę wojskową w Ułan Bator, to czytał w gazecie o znalezieniu w Mongolii czaszki ałmasa i że nie gdzie indziej, a właśnie w Polsce badali ją naukowcy, potwierdzając jej autentyczność, zaś jego mama — znana mi szamanka — ma flet zrobiony z kości „człowieka gór”. Jest on bardzo stary i dostała go dawno temu od innego szamana, a ten od jeszcze starszego. Możesz go u niej zobaczyć — proponuje mi — jak wrócimy do domu. Mówi też, że wie na pewno, że mnisi w jednym z klasztorów mongolskich mieli skórę ałmasa — też o tym czytał w gazecie. Radzi też, bym — jak wrócę do Ułan Bator — zasięgnął informacji o ałmasie u jego wujka, pracownika naukowego uniwersytetu, i oferuje się, że może w przyszłym roku poprowadzić mnie do miejsca gdzie ponoć żyją ałmasy.

Na konkretne pytanie — czy i gdzie moi rozmówcy widzieli ałmasa, nie dostają jednoznacznej odpowiedzi. Owszem — twierdzą - spotkał go ktoś inny, oni natomiast widzieli tylko wielokrotnie jego ślady na ziemi i śniegu, szczątki upolowanych przez niego zwierząt i znają w górach jaskinię, w której mieszkał. Mogą mi ją pokazać — oferują się — choć to daleko stąd! Z tydzień jazdy konno. Jest tam legowisko i kości...

Umawiam się na tę wyprawę w przyszłości, a Erdene szczegółowo wypytuje gości o lokalizację jaskini.

Na pytanie — „jak wygląda ałmas...?” — dostają liczne odpowiedzi. Jest wielki — mówią — ma ze trzy metry wzrostu, małą głowę i wielkie kły. Inny — dobrze poinformowany — twierdzi, że wzrostem i wyglądem przypomina człowieka, tylko pokrytego czarną sierścią, chodzi z wielkim drągiem i brzydko śmierdzi. Czasem bywa okręcony skórą zdartą z upolowanego zwierza. Po intensywnym zapachu (a raczej okropnym smrodzie), jaki pozostawia za sobą, można poznać, że tędy niedawno przechodził lub że jest w okolicy.

Jerry, ciągle wściekły na nocnego gościa za wyrządzone nam szkody, burczy i odgraża się, że ... w roku przyszłym już żaden ałmas nie zrobi mu bałaganu w obozie, bo zabierze do Mongolii swojego kanadyjskiego „strażnika” - odstraszacza niedźwiedzi. Działa on w ten sposób, że obóz otacza się na noc cieniutką linką, która po naciągnięciu przez intruza uruchamia mechanizm odpalający nabój hukowy, który odstrasza nawet grzliwego głodnego na wiosnę. Ja już teraz kombinuję jak tu takie urządzenie raczej przystosować do wyzwolenia spustu migawki mojego aparatu fotograficznego uzbrojonego w lampę błyskową. Kombinuję jak w przyszłości ustawiać taką fotograficzną zasadzkę i pytam się Erdene co użyć jako przynętę na ałmasa. Co on najbardziej lubi...?

Ten śmieje się i mówi, że najlepiej „ładną dziewczynę...”

Pasjonująca rozmowa przeciągnęła się na „trzy kociołki herbaty”. Dawno już zapadł zmrok, ale nasi goście jakoś nie kwapią się jechać dalej. Jemy wspólną kolację. Popalamy skręty. Wąchamy tabakę. W końcu dwóch starszych Mongołów idzie spać do namiotu Erdene. Reszta gości rozkulbacza i pęta konie, rozkłada koło ogniska wyjęte spod siodła płaty wołoku. Sprawdzają swoją broń i naboje w magazynkach. Jeden z Mongołów strzela w powietrze. Raz, drugi, trzeci... Zwariował? Erdene tłumaczy, że... na postrach! Potem okręcają się w deli i kładą się spać na ziemi. Zahartowani... My idziemy spać do naszych namiotów.

Jeszcze do ognia dokładam kilka grubych pni drzewa — będą się palić do rana. Erdene opatula się w deli i siada z bronią przy ognisku. Trochę jeszcze posiedzę — mówi. Dodaje jeszcze po cichu — „oni uradzili, że dziś nie pojedą, bo boją się spotkać w nocy ałmasa...!”

Postanawiam jutro powłóczyć się konno po górach. Szukając śladów ałmasa obejrzyć okolicę przez lornetkę i teleobiektyw. Dotychczas widziałem niedźwiedzia, fotografowałem orły, orłosępy, bobaki, dzikie wielbłądy — baktriany, burundiuki, ale żadnego dwunożnego yeti. Może teraz... tutaj...? Szkoda tylko, że przed nami jeszcze zaledwie tydzień wspaniałej przygody i nikła szansa na spotkanie z mongolskim człowiekiem gór i śniegów — ałmasem...

Niestety, przez pozostały, krótki okres pobytu w tundrze nic ciekawego nie odkryłem.

\*

Tak to było kilka lat temu. Potem, w Ułan Bator, nasza przygoda nie wywołała specjalnego zdziwienia. Na moje pytanie o mongolskiego człowieka gór i śniegów, usłyszałem, że *"oczywiście, ałmas żyje w Mongolii i pewnie już niedługo go znajdziemy!"* Tak, z głębokim przekonaniem, powiedział mi Nyambat — poważny, utytułowany naukowiec z Uniwersytetu w Ułan Bator. *"Są zachodni sponsorzy i szykuje się poszukiwawcza wyprawa naukowa wyposażona w noktowizory, kamery termowizyjne, śmigłowce itp. sprzęt"*.

Kogo spodziewacie się znaleźć — zapytałem go?

*„Człowieka śniegu”, albo inaczej -"człowieka z gór". Yeti nazywanego u nas ałmasem, co znaczy — „dzikim człowiekiem”. Jest on nagi, czarno brunatny, człekokształtny olbrzymi jak*



żydowski golem (wzrost około 2 m — uw. wł.), chodzący na tylnych łapach [nogach], z długimi rękoma, silnie owłosiony, z małą głową, ale twarzą większą niż u człowieka. Ma grzywę zasłaniającą oczy i większość twarzy. Szybko biega, nie mówi, a przeraźliwie gwizdże, czasem wrzeszczy i ryczy, a głos ma wówczas wstrętny, chrapliwy. Najczęściej jest samotnikiem. Śmierdzi okropnie. Żyje wysoko w górach, gdzie kończy się tajga, a zaczyna tundra.. Żywi się polując na dzikie renifery i jelenie, choć gdy jest głodny to nie gardzi owcami z dolin. Je także jagody leśne i grzyby. Mieszka w norze lub jaskini. Nie pływa, nie lubi wody, wręcz boi się jej. W zimie, gnany silnymi chłodami i głodem, schodzi w niższe partie gór i pojawia się w pobliżu siedzib ludzkich kradnąc zwierzęta hodowlane. Bywa kochliwy i miewa potomstwo (krzyżuje się — uw. wł.) z człowiekiem...

Pozostało mi tylko obiecać sobie, że w przyszłości wrócę tu na dłużej i będę kontynuował poszukiwania tajemniczego stworzenia. Na taką okazję przyszło mi długo czekać. Dopiero ubiegłoroczna wyprawa stwarzała szanse podążenia śladem sprzed lat. Dotarcia do tych tajnych miejsc znanych tylko miejscowemu myśliwemu i szamanowi, który obiecał mnie tam zaprowadzić. Zaprowadzić mnie, swojego „pape” (tak po latach przyjaźni chłopak mnie nazywa i traktuje...). Erdene obiecał mi to, ale i ostrzegł, że będzie to trudna wyprawa, w najdziksze rejony gór i może ona potrwać najmniej cztery tygodnie. Musimy być obaj uzbrojeni i zabierzemy psa, powiedział.

I tak to doszło do dwumiesięcznej, survivalowej, konnej wyprawy w bezludne regiony gór północnej Mongolii. Wyprawy "W POSZUKIWANIU MONGOLSKIEGO AŁMASA".

## Улаан Тайга (Mongolia północna), sierpień — wrzesień 2004 r.

Po pięciu dniach jazdy samochodem dotarliśmy do Mörön — stolicy ajmaku chubsugulskiego. Zrobiłem tam ostatnie zakupy żywności, odebrałem z policji zgodę na przebywanie w rejonie przygranicznym i natychmiast ruszyliśmy dalej. Do Cagaan Nuur dotarłem po kolejnych dwóch dniach jazdy. Przenocowaliśmy w jurcie u Erdene, odmeldowałem się u pograniczników i już następnego dnia przesiedliśmy się na konie. Szybko dotarliśmy do górnego Tengyzu. Te dni konnej podróży przebiegające wzdłuż rzek zaowocowały w moim notesie następującymi uwagami — „zupa rybna zrobiona na głowie złapanego tajmienia jest pyszna, a marynowane filety rybne robią furorę...”; „w nocy spadł śnieg. Wieje wiatr i jest bardzo zimno, rano straszna mgła...! Mokro, wszędzie teren zalany wodą, nie ma gdzie rozbić namiotów, bo albo woda, albo dżungla krzewów... Była straszna burza. Po raz pierwszy obserwuję poziome pioruny...”

Męczący marsz konny przez góry ciągnął się długo, nim wreszcie dotarliśmy do najdalszego północnego krańca naszej wyprawy, skąd dopiero mogliśmy odbić na południowy zachód. Tyko tak mogliśmy ominąć łańcuch wysokich gór, ze szczytami sięgającymi 3500 m n.p.m. Ociepliło się. Poprawa pogody zaowocowała masowym pojawieniem się komarów i meszki. Drobnutkie owady dotkliwie gryzły i było ich tak wiele, że włożyły w oczy i usta. Tereny przez które wędrowaliśmy na koniach były porośnięte gęszczem krzewów, pokryte bajorkami i kamieniami. Nic tylko czarne błoto, a w nim kępy wysokiej trawy i twarde krzewy. Kalosze grzęzły w bagnie, kilometrami musiałem skakać z kępy na kępę. Ostre gałęzie krzewów porwały mi spodnie i obuwie. W tych warunkach wędrowanie na piechotę było straszną mordęgą. Pozbawiało mnie sił i oddechu. To także była i wina wysokości.

Gdy już byliśmy wysoko w górach, nadszedł niż. Jak zaczął padać ulewny deszcz, to lał przez cały dzień. Mróz, zimno czy wiatr znoszę dobrze, ale wilgoci nie lubię. W nocy namiot pokrył pancierz lodu o grubości centymetra i zrobiło mi się z niego igloo. Potem przeszedł śnieg. Powierzchnia rzeki dymiła...

Erdene szamał na intencję poprawy pogody.

Kolejne dni zafundowały nam przeprawy przez trzy rzeki. Potem były same ostre podjazdy i zjazdy. Upadłem z koniem. Jak zawsze dziwiłem się, jak te mongolskie koniki potrafią dać sobie radę tak wysoko i w takim terenie?

Mirek codziennie jeździł konno, by penetrować okolice i ewentualnie coś upolować. Pewnego dnia do obozu przybiegł samotnie jego koń. Spocony, zabłocony, bez siodła i jeźdźca. Przestraszyłem się okropnie i uruchomiłem akcję poszukiwawczą. Na szczęście przygoda skończyła się dobrze. Okazało się, że koń zaczął topić się w bagnie i przewrócił się. Przeraził się, zrzucił jeźdźca i uciekł. Po drodze — w panice gnając między drzewami, zerwał z siebie uprzęż i siodło. Mirkowi nic się nie stało, ale skórzane siodło porwało się na kawałki.

\*

Znowu wiatr i śnieg. Marzniemy, humory psują się i mam coraz mniej ochoty włóczyć się po okolicy i szukać śladów jakiegoś tam ałmasa! Poranne wstawanie też nie należy do przyjemności. Jedynie Mirek nie traci animuszu. Wstaje pierwszy, rozpala ogień, gotuje herbatkę i dopiero robi nam pobudkę.

\*

Nastąpiła nagle poprawa pogody i ocieplenie. Noce są zimne z przymrozkami, ale w ciągu dnia można się wręcz opalać. Ani jednej chmurki. Przy takiej pogodzie wędrujemy chętnie i szybko. Z każdym dniem dalej i wyżej w góry. Jeszcze dzień-dwa i ponoć będziemy w okolicach gdzie — jak twierdzi Erdene — żyje ałmas!

Okolica robi się coraz bardziej niedostępna. Czasami musimy daleko znosić graty w dół po skalnym gołoborzu, by móc rozbić namioty blisko wody, drewna i na równym terenie. Rzeki płyną w coraz większym i piękniejszym kanionie. Ich pionowe ściany sięgają miejscami kilkudziesięciu metrów.

Rano znowu śnieg na namiotach. Za to słonecznie. Życie obozowe rodzi się wraz z promieniami słońca i z nimi zamiera.

\*

Już połowa września. Jak ten czas leci... Biwakujemy na skrawku brzegu rzeki płynącej w kanionie. Miejsce ponure i ciemne, bo słońko późno tu zagląda. Za to piękne. Nie mogę się "nafotografować". Te gry światła! Bawię się w robienie zdjęć panoramicznych.

\*

Dzisiaj Erdene mówi, że doszliśmy do celu wyprawy. Właśnie tutaj mamy szansę na znalezienie ałmasa. Jesteśmy w miejscu niedostępnym dla ludzi i zwierząt, i właśnie tu — ponoć — chroni się on przed ludzkim wzrokiem. Nawet myśliwi tu nie zaglądają, bo boją się. Mongoł każe mi iść wzdłuż rzeki, wąskim pasemkiem brzegu tuż przy pionowej, skalnej ścianie wąwozu i szukać tam śladów. Radzi śpieszyć się, bo jeśli popada deszcz, to poziom wody w rzece podniesie się i wówczas nie będzie już możliwości przemieszczania się. Wszystkie zwierzęta będące wówczas na brzegu rzeki wpadną w groźną pułapkę. Woda je porwie i utopi, a my będziemy musieli uciekać na skały wysokiego, skalnego brzegu kanionu. Ale teraz trafiliśmy na moment, gdy woda opadła, zwierzęta wędrują wąskim pasemkiem brzegu i łatwo je (lub ich ślady) odszukać.

Robię jak radzi. Przez całe dni penetruję okolicę po obu stronach rzeki. Niestety, bez rezultatu. Widziałem tylko lisa oraz znalazłem ślady niedźwiedzia, sarny i wilków. Kości jakiegoś martwego zwierzęcia kopytnego i to wszystko. No i — przy okazji — złapałem masę ryb. Obżeramy się lenokami. Aż pewnego dnia...

## Czaszka ałmasa

Wędrując po skalnym rumowisku nagle poczułem wstrętny zapach. Od razu przypomniały mi się wszystkie opowieści o smrodzie wydzielanym przez ałmasy i podniósł mi się poziom adrenaliny. Smród unosił się gdzieś z góry. Musiałem zatem zabawić się w alpinistę. Odłożyłem aparat i próbowałem wspinać się po skałach do góry. Niestety, mało nie spadłem — w kaloszach nie dało rady. Musiałem wrócić do obozu po inne obuwie, linę alpinistyczną, pas z karabinkiem, rękawiczki i asekuranta. Zostawić obszerną kurtkę, a ubrać obcisłą kamizelkę. Jeszcze, profilaktycznie zabrałem latarkę i swojego Walthera P99 (nóż). Niestety, będąc już przygotowany do wspinaczki doszedłem do wniosku, że jest zbyt późno, zaraz zapadnie zmrok i eksplorację przełożyłem na dzień następnny.

Spałem źle, bo „szybko”...

Następnego dnia poszedłem z Mirkiem na poszukiwania. On zabrał kamerę. Kilkakrotnie ponawiałem próby wspinaczkowe nim trafiłem na miejsce skąd wydzieliał się ten smród. W końcu odszukałem niewielką jaskinię usytuowaną wysoko na zboczu skalnym, ale w niej znalazłem tylko obrzydliwe, rozkładające się resztki jakiegoś kopytnego zwierzęcia. Fragmenty kończyn pokrytych gnijącą skórą, żebra, kręgosłup. Kilka czystych kości zrzuciłem na dół by pokazać je Erdene. Wróciliśmy do obozu.

Po oględzinach kości mój mongolski przyjaciel stwierdził, że są to szczątki sarny, która — jakimś dziwnym sposobem - trafiła do tej jaskini wysoko na zboczu góry i tam zdechła. Może płynęła z powodziową wodą, dumał? Albo, podniecił się, może porwał ją ałmas, zabił i przyniósł do domu? Erdene poradził, abym jeszcze raz wdrapał się na górę i dokładnie obejrzał jaskinię i jej okolice.

Szczegółowe oględziny jaskini nie były łatwe ani przyjemne. Aby móc wczłgać się głębiej musiałem gnijące szczątki odsunąć patykiem. Było ciasno i bałem się czy wydostanę się z powrotem. A co będzie jak przysypie mnie piach lub przycisną kamienie?



W końcu wlałem do środka. Zapaliłem latarkę i wyginając się jak wąż (oraz walcząc z odruchem wymiotnym) świeciłem po kątach. I wtedy TO zobaczyłem! Stare kości, bielejące w półmroku. Dwie czaszki. Dziwne, wielkie. Na wpół zagrzebane w piachu. Jakby ludzkie! Z ziemi wystawały jeszcze jakieś zęby.

Zrobiłem kilka zdjęć i stwierdziłem, że - niestety — wypełniła mi się w aparacie karta pamięci. Po zastanowieniu zwalczyłem w sobie chęć ruszenia kości, wyczołgałem się na zewnątrz i wyrzeszczałem na dół informacje o znalezisku. Zlazłem pospiesznie. Zakazałem czegokolwiek ruszać (choć i tak mój cięższy i wyższy kolega nie przecisnął by się do środka) i pobiegłem do obozowiska po nową kartę pamięci, plecaczek i linę.

Krztusząc się adrenaliną i rozrzedzonym powietrzem po pół godzinie byłem już z powrotem. Znowu wdrapałem się po pionowym, skalnym stoku do jaskini i dokończyłem fotografowanie znaleziska. Ubrałem zabrane z apteczki cienkie, gumowe rękawiczki i ostrożnie wy dobyłem z ziemi obie czaszki i szczękę. Włożyłem je do plecaczka i spuściłem na dół do kolegi. Jeszcze patykiem przeorałem całą jaskinię, szukając w piasku innych kości. W końcu zszedłem na dół. Erdene obmył czaszki w rzece i obejrzał je dokładnie. Z niecierpliwością czekałem na jego opinię.

Wreszcie, ponaglany wyksztusił — *ta większa, z zębami to... nie znaju. Ta mniejsza jest na pewno ałmasa. Jaskinia była jego domem, gdzie chronił się, przynosił upolowaną zdobycz. Pewnie stary ałmas tam zdechł, albo powodziowa woda go utopiła...*

Teraz sam dokonałem oględzin. Jedno znalezisko wyraźnie wyglądało na dużą mózgowiczkę ludzką, chociaż jej kształt był jakby nieco inny. Brakowało niestety szczęk z zębami. Druga czaszka spełniała moje (i np. Reinholda Messnera) wyobrażenie dzikiego ałmasa. Miała wysunięte szczęki — jak u ludów pierwotnych i solidne kły wskazujące na drapieżnika. Chyba niedźwiedzia.

Pieczołowicie chroniąc znaleziska, podnieceni i rozgorączkowani, wróciliśmy do obozu. Dwoma aparatami obfotografowałem kości ze wszystkich stron. Z lampą i bez lampy. Na wszelki przypadek. Potem zapakowałem czaszki w ręczniki i zamknąłem do aluminiowych pojemników. Znalezisko zabiorę do Polski — zdecydowałem, przeschmugluję (jeśli nie dostanę zgody na wywóz) i przekażę antropologom do badań.

Długo myłem się w rzece, by pozbyć się trupiego odoru zgnilizny.

Nagotowaliśmy kocioł herbaty i wyciągnęliśmy flaszkę archi, schowaną właśnie na tę okazję. Piliśmy gorący *caj* z wódką. Paliliśmy ognisko i do późna rozmawialiśmy o znalezisku i yeti. Rozmowę kontynuowaliśmy jeszcze leżąc w namiotach, w śpiworach, bo wciąż podniecony nie mogłem zasnąć (podobnie jak i koledzy). Erdene zamknął się w swoim namiocie i szamał. Do późna słyszeliśmy jego monotony śpiew.

Co za emocjonujący dzień! Coś takiego. Znalazłem czaszkę ałmasa!

## Profanacja i kara

Powoli zbliżał się kres naszej wędrówki i trzeba było wracać do cywilizacji. Mając takie znalezisko już mogłem wracać „z tarczą” i — szczerze mówiąc — nie mogłem doczekać się zaprezentowania znaleziska fachowcom!

Ostatni biwak przed powrotem do cywilizacji wypadł nam w miejscu, gdzie na odległym wierzchołku góry stał wielki i piękny kurhan wotalny *obo*. Odpoczywaliśmy cały dzień piorąc i zmywając wielotygodniowy bród z ciała. Erdene gdzieś pojechał. Wrócił dopiero wieczorem i jakoś dziwnie zachowywał się. Był nieswój i mruklawie odpowiadał na moje żarty. Skarżył się na ból w piersiach i prosił o leki. Nie jadł i szybko poszedł spać. Znowu szamał nocą w swoim namiocie...

Następnego dnia, przy pakowaniu zauważyłem, że pojemnik z czaszkami jest lekki. Okazał się pusty i zrozumiałem co się stało. To Erdene... Poszedłem do chłopaka, bez słów pokazując mu puste aluminiowe pudło. Ten odwracając wzrok powiedział tylko — "*Bolik, uuczlaaraj (przepraszam), ty znajesz...* i jeszcze dodał patrząc na mnie błagalnie '*...nikomu nie gawari ab etom!*'"

Zrozumiałem co się stało i dlaczego. — Erdene zreflektował się, zabrał moje znalezisko — czaszki i na szczycie góry, na tym *obo*, złożył ją bogom w ofierze. Oddał to, co było ich własnością, a nie moją. Bowiem, zgodnie z wierzeniami Mongołów (niezależnie czy tych prostych ludzi z tajgi, tych miejskich, czy nawet naukowców z uniwersytetu) nie wolno szukać, a tym bardziej zabierać szczątków ludzkich. Nie wolno rozgrzebywać starych kurhanów, prowadzić prac archeologicznych, szukać grobu Czyngis-chana itp., bo wiem wszystko to może spowodować wielkie nieszczęścia. I dlatego Erdene — syn szamanki, zdecydował, że znalezisko powinno wrócić do bogów ziemi i nieba, a nie zostać sprofanowane przez naukowców. Wystraszył się o własny los, przeraził się tego, co się stało, czego się dopuściliśmy... klątwy, kary bogów, które mogły spaść na nas i dlatego pozostawił kości na świętym kurhanie. Między





innymi leżącymi tam czaszkami - argali, wilków, niedźwiedzi, owcy z trzema rogami itp. Wystraszył się, że znalezisko sprowadzi nieszczęście a może nawet śmierć na tych, którzy je zabrali! Choroba już go dotknęła!



Taka jest Mongolia! Tacy są tam ludzie, ich obyczaje, wierzenia... Do niedawna zwłok zmarłych nie grzebano w ziemi, a pozostawiano na uroczyskach, na pastwę drapieżnego zwierza i ptactwa! Rozszarpywały je orłosepy i wilki! Dziś chowa się zmarłych daleko i wysoko w górach [4], przykrywa kamieniami i... zapomina o tym miejscu.

Jeżdżę do tego „zaginionego” świata od 10 lat i mam tę świadomość, że za każdym razem cofam się w magiczny XIV wiek. I szanuję wierzenia miejscowych, ich obyczaje i prawa. Zatem trudno, nie pojechałem zabrać z powrotem swojego znaleziska. Pozostało tam, gdzie Mongoł zdecydował. Mnie pozostały przeżyte emocje, satysfakcja ze znaleziska i zdjęcia, które Wam prezentuję.

A może Erdene miał rację?

## Wielkie odkrycia?

Niedowiarków i prześmiewców informuję, że niejedno stworzenie wynurzyło się nagle z mroków legendy i okazało wprawdzie rzadko spotykaną, ale istotą z krwi i kości. Tak wyglądała np. sensacyjna historia odkrycia w Mongolii (1879 r.) przez podróżnika i odkrywcę, rotmistrza Przewalskiego, „dzikiego konia” [kirg. *kertag*, mong. *takhi*]. Odkryto wówczas w Mongolii zupełnie nowy gatunek zwierzęcia! Zwierzę to, żyjące na stepach mongolskich, nie było bowiem koniem, konioosłem czy czymś podobnym, a jedynym, prawdziwym dzikim prakoniem!

Darujmy sobie drobne stworzenia [5], ale wiek XX obfitował w odkrycia dużych lub wręcz ogromnych ssaków lądowych. Popatrzmy w kolejności na tylko niektóre, nowoodkryte gatunki. W 1901 roku, w dolinie Konga znaleziono małą „żyrafę” — *okapi*; w 1937 roku — tamże — ogromną świnię leśną, a na Półwyspie Indochińskim *gaura* — byka wielkości żubra! W Paragwaju „zmaterializowało się” *pekari* znane wcześniej ze... szczątków z epoki lodowcowej (sic!). W Brazylii (odkrycie z 1991 r.) znaleziono *lwiatki* - cudaczne złociste, złotogłowe, czarne lub czarnolice małpki o wyglądzie miniaturowego lwa. Odkryciem ostatnich lat są małe jelonki *mundzaki* z Indochin, oraz ogromna (przekraczająca 120 kg) antylopa *sao-la* z Wietnamu.

Literatura opisuje także odkrycie małpy — „śnieżnego upiora" [*Rhinopithecus roxellanae*] — żyjącej na pograniczu Tybetu i Chin [oraz prawdopodobnie Nepalu, Sikiangu i mongolskiego Ałtaju], na wysokościach ponad 3000 m, w warunkach gdzie przez osiem miesięcy panuje mróz i śnieg! Ta przedziwna małpa — „demon", znana była już od czterech tysięcy lat (sic!), ale wyłącznie z... legend i malunków na starej, chińskiej porcelanie (podobnie jak yeti czy ałmas). I w końcu stało się — legenda zmaterializowała się. Udowodniono, że naprawdę żyje dziwne zwierzę o niebieskawo zielonym obliczu, żółto płomiennym tułowi, rdzawych włosach na głowie i perkatym, zadartym nosie. Czy spotkanie takiego na pół wyprostowanego włochatego potwora o ludzkiej twarzy, wysoko w górach, w krainie tundry i lodowców, nie może być interpretowane jako spotkanie ałmasa?

Jak takie wielkie zwierzęta aż do czasów współczesnych mogły umykać uwadze badaczy?!

## Rsum

Czy my, wtedy, w mongolskiej, górskiej, bezludnej tajdze zetknęliśmy się z ałmasem?

Cóż — wierzę własnym oczom, śladom w błocie, doświadczeniu mongolskiego przewodnika i — przede wszystkim — myśliwskim kwalifikacjom mojego ówczesnego partnera — Jerry'ego [6]. Twierdzą zatem, że wtedy naszego obozu na pewno... NIE ODWIEDZIŁ NIEDŹWIEDŹ! Pozostaje pytanie — w takim razie kto?! Jakiś zdziczały i głodny przestępca - zbieg o kolosalnych, gołych stopach? Samotnik, pustelnik od lat ukrywający się na bezludziu? Ktoś specjalnie nocą porobił ślady stóp i zniszczył nam zapas jedzenia? Zrobił nam głupi, złośliwy dowcip. Na takim odludziu?!

A znaleziona w tym roku czaszka? Niewątpliwie humanoida! Lub ta druga idealnie pasująca do teorii Messnera o yeti? Znowu, po wyeliminowaniu prostych wyjaśnień, nasuwa się jedyna, logiczna odpowiedź...

Całkowicie bezludne góry, niedostępne i okryte wieczną zmarzłością, nękane straszными burzami, huraganowym wiatrem, pożarami, mrozami do minus 50°C... to terytorium groźne dla obcych i miejscowych. Upiorna tajga i „księżycowa" tundra, taka — „czarna dziura", ciągle czekają na odkrywców ukrytych tam tajemnic (podobnie jak i np. trzystumetrowe głębiny mongolskiego jeziora Chubsugul). Tajemnic dinozaurów, czasów chanów i przyrody. Trwanie mitu (lub istnienie zwierzęcia) zależy od istnienia takich ostatnich obszarów dzięki przyrody i ten sygnał poddaję wszystkim pod rozwagę. Bez nienaruszonego, dziewiczego środowiska, nie będzie ałmasa lub nawet legend o nim.

## Sensacje z ostatniej chwili...

Magazyn naukowy „New Scientist" doniósł, że w tropikalnych lasach Konga odkryto gigantyczne małpy. Są one znacznie większe od goryli. Mierzą ok. 2 metrów i ważą do 120 kg. Ale nie tylko w dżunglach kryją się nieznanne nam dotąd gatunki zwierząt. Naukowcy donieśli także o odkryciu nowego gatunku wieloryba. Na łamach magazynu „Nature" opisano wyłowionego na Morzu Japońskim dziesięciometrowego walenia. „Testy DNA wykazały, że mamy do czynienia z nowym, nieznanym nauce gatunkiem..." - podał Tadasu Yamada z Narodowego Muzeum Nauki w Tokio. Niewykluczone, że o nieznanym dotąd gatunkach zwierząt będziemy słyszeć coraz częściej, bowiem działa projekt, w ramach którego naukowcy z 53 krajów starają się skatalogować jak największą liczbę nowych gatunków. Badania te uświadamiają nam, jak wiele jeszcze mamy do odkrycia na Ziemi...

Zob. też: [Hobbit z Flores](#)

\*

Skrócony tekst artykułu ukazał się w numerze 1/2005 „Poznaj Świat"

Podobna tematyka na: [Starsze Ludy](#), [Kryptozoologia](#)

---

Przypisy:

[1] Prof. Dionizy Czubala - "Mongolskie i syberyjskie opowieści o człowieku śniegu" Polska Sztuka Ludowa. Konteksty" Nr 3-4, 1994r, s. 53-58. Bibliografia 33 pozycje

[2] Mongołowie praktycznie pozbawieni są zarostu na twarzy i ciele.

[4] Czy wszystkich...?

[5] Na przełomie wieków odkryto około 500 nowych gatunków małych ssaków.

[6] Jerry Romańczuk, *JEROME Survival Schule*, Niemcy.

### **Bolesław A. Uryn**

Doktor nauk przyrodniczych, jest pisarzem, niezależnym reporterem i fotografikiem. Propagator survivalu „z ludzką twarzą”, współpracuje z niemiecką JEROME Survival Akadamię. Z zamiłowania podróżnik i wędkarz, publikuje swoje teksty i zdjęcia w miesięcznikach geograficznych, turystycznych, wędkarskich, przyrodniczych, survivalowych i wojskowych. Autor licznych prac z zakresu rybactwa. Już od 10 lat jeździ do Mongolii i – w świecie jurt – jest nazywany „Boleebaatar”. Wydał książki: „Z wędką na aligatora” i „Survival z ludzką twarzą – Wyprawy do Mongolii północnej”. Prezentował w kraju i za granicą wystawy fotograficzne, pt. „Czerwone serce Australii”, „Czyngis-chan A.D.'98”, „Shangri-La - Mongolia sercem malowana” i „Otwarcie”. Jego cykle ilustrowanych artykułów *Wyprawy...* i *Survival...* publikowane na łamach prasy, od lat cieszą się dużym zainteresowaniem czytelników. Mieszka w Olsztynie.  
[Strona www autora](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 16-08-2005 Ostatnia zmiana: 11-02-2007)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,4318) (http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,4318)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora.

Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych  
Racjonalista.pl

Strona 15 z 16

serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)